№ 33. Warszawa, dnia 6 (18) Sierpnia 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBOT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z KRAJOBRAZÓW PODZWROTNIKOWYCH.

WEDŁUG

LUCYANA BIART'A.

Spolszczyła

WŁ. Z R. J.

W puszczy Akula.

Było to na gorącej Meksykańskiej ziemi.

Opuściwszy wioskę Casamaloapan z brzaskiem poranku, przez cztery godziny błąkałem się wśród ciemnych zarośli palmowego lasu. Na gruncie po którym szedłem, a na jaki nie padł nigdy promyk słońca, nie można było dostrzedz najmniejszego śladu życia zwierzęcego, żadnej zieloności, ruchu żadnego.

Jak dojrzéć okiem w górze, szare wierzchołki palm, których gałęzie przysłaniając niebo, kryły jak najstaranniej jasność horyzontu. Po kilkunastu krokach uczynionych w głąb' puszczy, mrok ciemny panujący w tejże przekonał mnie, że niebezpiecznie byłoby przedzierać się dalej. Zatrzymałem się przeto, rozmyślając w którąby zwrócić się stronę, gdy drobny promyk słońca ukazawszy się w oddaleniu, wskazał mi punkt ku któremu winienem skierować swe kroki.

Idąc za nim, znalazłem się nad rzeką Salado.

Nad łożyskiem wydrążonym przez rzekę, między palmami przebijał się skrawek jasnego nieba, który ozłocony słońca promieniem, zwrócił uwagę moją na grunt albo raczej gęsto utkany kobierzec wodnemi roślinami, jakie w znacznej przestrzeni pokrywały wodę.

Miejsce to było dziwnie ponurem i dzikiem.

Parę drzew rosnących nad brzegiem rzeki, kąpiąc w niej swoje korzenie, pochylały się w jej głębie, dając spodziewać się, że prędzej lub później silny prąd burzy, nieroztropnych strąci w dno fali, która pokryta zdradną roślinnością, nieruchoma z pozoru, wrzała spodem tajemniczo przygotowując im zgubę.

Dwa takież drzewa, ofiary, jako przykład tamtym pływały na powierzchni przedemną, a po dłuższem wpatrzeniu poznałem, iż poruszały się widocznie.

Posuwane zwolna, prądem zaledwie dojrzanym, mknęły ku rzece Motylej, której rwące fale uniosą je szybko do morza. Tam porwane pienistemi wodami Gulfstremu, rozpoczną długą wędrówkę, aby się ujrzéć ostatecznie pewnej burzliwej nocy wyrzuconemi na piaszczyste pobrzeża Meksyku. Wtedy to, stare te drzewa, zrodzone i wyrosłe w samotności puszcz, usłyszą wieczną noc i dzień trwającą skargę ponurych fal morskich.

Nawykłe do dźwigania wesołych gniazd ptasich, będą służyły za schronienie potwornym krabom, które z bogactw tropikalnej ziemi jaką zamieszkują, nieznają jak piaski gorące i trupy zwierząt, któremi się żywią.

Nadeszło południe, godzina w ziemi gorącej uroczystego milczenia. Głusza wokoło, najmniejszego powiewu wiatru, żadnego szmeru, ruchu nie słyszysz żadnego.

„Oddychamy ogniem", słusznie powiedział towarzyszący mi Indyanin, kładąc swe nagie ciało, na równie nagim gruncie, dla doznania rozkoszy południowego spoczynku. Cisza wokoło przerażająca, napełniająca trwogą śmiertelną pod piekącemi żarem promieniami słońca, jakie zazwyczaj palą tu wszystko.

Wszelkie żyjące stworzenie zdało się być nagle pozbawionem ruchu, chodzenia, latania, nawet czołgania się pod siłą upału tak ciężkiego, iż obezwładniał on nawet lekkie skrzydła wodnych owadów.

A to powietrze ścieśnione, przygniatające, napełniała owa woń ciężka, zabijająca regjonów, gdzie panuje w całej potędze swej żółta febra, woń śmiertelna, jaką napróżno zapomniéć chcą ci, którzy choć raz w życiu nią odetchnęli.

Nie byłem sam, oprócz śpiącego pod moją pieczą Indyanina, wielki ptak o łysej czaszce, zwany Tantalem, przybywszy w to miejsce stanął o kilkadziesiąt kroków ode mnie. Nie zważając na naszą obecność olbrzym ów, zaczął nad brzegiem rzeki czynić przygotowania do połowu.

Wpatrzony w jej powierzchnią, uszczknął kilka traw, następnie spuściwszy ku piersiom swój długi, ostry dziób, skulił lewą nogę wsparty na prawej, zbyt cienkiej z pozoru, iżby utrzymać mogła ciężar jego ciała, a która jednak dźwigała go od godziny w nieporuszeniu.

Można było sądzić, że śpi lub drzemie, gdyby jego błyszczące czarne źrenice nieprzebijały chciwie wód głębi. Na powierzchnią rzeki naprzeciw mnie będącej, szukając słonecznych promieni przed którémi się chroniłem, wypłynął kajman.

Wsparty o pień palmy, starałem się nieprzeszkadzać sąsiadowi memu, piętnaście metrów zaledwie dzieliło nas od siebie. Zarówno on, jak i drzemiący Tantal zdawał się być nieporuszonym.

Zwrócony ku rzece gotów był do zanurzenia się w nią w razie napaści, od czasu do czasu podnosząc zwierzchnią swą paszczę jedynie ruchomą, jak się podnosi wierzch wielkiego pudła.

W tej pozycyi bezwładnej wpatrywał się we mnie półsenny. Ja z mej strony tąż samą cześć oddawałem mu wzajem. W każdym razie jednak myśli nasze, sądzę, jeśli krokodyle posiadają takowe, nie były podobnemi sobie, równie jak osoby nasze i gusta. Obserwowałem go w milczeniu, trzymając nabitą broń w ręku, nie mając bynajmniej zamiaru zaczepiać go wcale.

Pragnąłem wybadać jedynie zachowanie się tego dziwnego stworzenia i jego instynkta. Czekałem, patrząc co pocznie dalej. Czy oczekiwał na zdobycz? Bynajmniej! Brzuch jego rozkładał się swobodnie, napełniony, gruby, rozkoszując się widocznie gorącemi promieniami słońca.

Jakaż istota tajemnicza, ów twór niemy przedwiekowy, to stworzenie pierwotnego świata, zapomniane w naszym. Starożytni owi władzcy wód, ziemi i nawet powietrza, widzieli pierwotnego człowieka i wiedzą jak zginął. Pragnąłem zapytać o to nie tylko tego potwora, ale i ptaka z ogołoconą czaszką obok mnie spoczywającego; jego powaga, postać pełna zadumy, świadczyły, że musi posiadać wiele tajemnic globu naszego.

Obserwowałem ich obu razem i tysiące myśli przebiegało mój umysł. Samotność do głębokich rozmyślań usposabia, śmiech nie jest właściwym towarzyszem człowieka znajdującego się na pustyni.

Obserwowałem więc ich studyjując teraźniejszość, zagłębiając się w upłynione wieki.

Miejsce w jakim się znajdowałem usprawiedliwiało pod tym względem dociekanie moje. Wszystko co mnie tu otaczało, nakazywało zerwać z obecnością a przenieść się w pełne cudów czasy dalekie.

Żaden z przedmiotów, żadne ze stworzeń jakie miałem przed oczami nie należało do dzisiejszego świata, wszystkie sięgały epoki przedhistorycznej. Tak zwierzęta, jak ptastwo rośliny i gady.

Lekki pomrok, milczenie, upał, woń miazmatyczna wydobywająca się z bagnistego gruntu, czyniły mnie współczesnym upłynionym wiekom.

Nagle jakiś dziwny łoskot doszedłszy mych uszu kazał wierzyć w ukazanie się potwora, z owej zamierzchłej epoki, gdzie gady miały skrzydła, a człowiek nie istniał jeszcze, myśl moja była całkiem oderwaną od ziemi.

Jednocześnie mój sąsiad Tantal, z powolnością najzupełniej zgodną z jego całą postacią, podniósł swój długi dziób, opuścił nogę, którą trzymał skurczoną, rozwinął skrzydła w taki sposób, iż się znalazły na równi z grzbietem jego i zdał się wsłuchiwać uważnie.

Wsparty na swych długich, cienkich nogach, trzymał je gotowemi do wzlotu, a pod silnym wrażeniem tegoż, ciało jego uniosło się w górę, skrzydła bić poczęły tak, że świst dał się słyszéć w powietrzu i nagle wzniósłszy się ogrom ten, wzbił się aż po nad wierzchołek palmy, przebiegł ją i zniknął wydając krzyk przeciągły i ostry.

Przypuszczałem, że znudzony próżnym wyczekiwaniem poszedł dalej szukać szczęśliwszego połowu.

Zwróciwszy jednak oczy ku rzece, ujrzałem ze zdziwieniem poruszającego się w niej kajmana.

Niedołężnym swym i czołgającym chodem zbliżył się ku środkowi wody i zwolna zniknął pod pokrywającemi ją roślinami, tak, że te poruszyły się zaledwie.

Powstałem z miejsca, ucieczka dwóch moich sąsiadów nie mogła być wynikiem jakiegoś kaprysu i spowodować ją musiała jakaś nieznana mi a ważna przyczyna. Jak słuch, powonienie, albo który ze zmysłów ludziom nieznanych, jakie niezaprzeczenie posiadają zwierzęta, przestrzegło ich bez wątpienia o nadchodzącym niebezpieczeństwie; przezorność zatem nakazywała mi niepogardzać tym hasłem, ale przeciwnie korzystać z ich doświadczenia. Długi czas pilnie nadsłuchiwałem zaniepokojony, śledzący.

Co mogło spłoszyć krokodyla tak rozkosznie używającego spoczynku, co strwożyło ptaka przy czatowaniu na zdobycz?

Mieliżby się zbliżać Indyanie? Nie! W regjonach ziemi gorącej, gdzie człowiek rzadko się ukazuje, zwierzę jakkolwiek byłoby krwiożerczem, żarłocznem, skrzydlatem czy pełzającem, nie płoszy się na widok jego. Wszystkie one patrzą nań z większem zdziwieniem niż trwogą, więcej z ciekawością niżeli z zawiścią.

Z dziobem w górę wzniesionym, z podniesionemi uszami, zbliżają się niekiedy ku niemu jak gdyby pragnąc go poznać. Jedynie uczynić tu można wyjątki z wilków i lisów, które na spotkanych strzelców napadają lub używają podstępu dla przyspieszenia ich zguby. Jaki więc wynik wyprowadzić z moich obserwacyj, które stwierdziłem? Jak wytłomaczyć przyjazny obyczaj tych dzikich stworzeń w obec człowieka? Jest-że to ufność w broń sobie od natury daną, w swą siłę? Czy instynkt w nich się obudza, który zapewnia ich, że w walce tej tryumf odniosą? Lub czy pakt pokoju istniał w rzeczy samej pomiędzy wszelkim stworzeniem?

Byłożby rzeczywistością, iż ażeby napadać a nie bronić się, przodkowie nasi wynaleźli lance, strzały i t. p., zjednoczone dziś w ręcznej strzelbie?

Głuche, przedłużone mruczenie przerwało moją zadumę. Dosłyszawszy we śnie ów odgłos, przewodnik mój przebudza się i wstaje; spojrzenia nasze spotykają się pytając o przyczynę nawzajem.

Milczymy oba, dowód to, że jak jeden tak drugi z nas nie umie wytłomaczyć powodu dziwnego hałasu jaki nas dobiega. Cała uwaga mego towarzysza wytęża się ku prawej stronie, gdy moją skupiam na lewo, który z nas dwóch ma słuszność?

Rumot, który zdał się powiększać w przestrzeni osłabł, i zdawało się, że przycichł zupełnie.

Mieliżbyśmy się omylić oba? Czyli w uszach nam jednocześnie brzmiało?

Kilka minut upłynęło zanim przemówić zdołałem tętnienie powstało znowu.

— Burza nadchodzi! — wyrzekłem, wspomniawszy na szmer głuchy, jaki zwykły wydawać gałęzie palm przed nawałnicą wichrem wstrząsane.

Indyanin mój potrząsnął głową przecząco i słuchał.

Poszedłem za jego przykładem i gdybym nie znajdował się na pustyni, sądziłbym, że bęben tam się odzywa z daleka... bardzo z daleka i że do tętnienia jego miesza się od czasu do czasu głos piszczałki, jak bywa w uroczystościach wiejskich.

Nierozsądne to przypuszczenie w miejscu w którem byłem odepchnąłem w chwili, gdy towarzysz mój wskazując na południe zawołał:

— Bęben i piszczałki, senor! — dodając: — Jakiś człowiek zabłąkał się w puszczy i mieszkańcy z Akula udają się na jego poszukiwanie.

Człowiek zabłąkany w puszczy! zadrżałem na te wyrazy, budzące w moim umyśle pełne śmiertelnej trwogi wspomnienia.

Zabrawszy się w oka mgnieniu, udaliśmy się w stronę zkąd hałas dochodził, a który w równych prawie przerwach milknął i poczynał się na nowo. Idąc, nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa, myśli nasze biegły ku nieszczęśliwemu, ku któremu dążymy daremnie być może, dopomódz pragnąc do jego odkrycia. Usłyszy nas nadchodzących, krążących może około miejsca gdzie spoczywa, lecz z jego zbolałej, zaschniętej piersi nie wydobędzie się nic więcej jak cichy podmuch milczenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pozór i rzeczywistość.

Sonet.

Lekki sylfik, odkradłszy słońcu część promieni,
Umieścił je w twych oczach, a bożek miłości
Strojny w zwykły swój uśmiech, na twych ustach gości,
I na twem licu białem igrać się nie leni.

Widzę w tobie wesołość tak niewyczerpaną,
Że smutku nie dopuszcza i chmury odpędza,
I okrywa cię zawsze jak słoneczna przędza,
Lecz któż wie, co się kryje za tą lśniącą ścianą?

O! ja jestem wesoła, bo mię ludzie śmieszą,
Gdy obłudne pochlebstwa przede mną rozwieszą,
Jak sznur pereł fałszywych! wszak to śmiechu warte!

Więc się nie dziw, że choć mi łza do serca spływa,
Świat sądzi, że ja jestem swobodna, szczęśliwa,
Bo on patrzy jedynie na zewnętrzną kartę!

M. H. Truszkowski.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

— Wiesz co Anusiu? — odezwała się Hortensya — jeżeli chcesz mi pomódz rzeczywiście, to proszę przepisz mi w ten notes całą listę roślin, wymienionych na tej karcie. Chcę mieć regestr kwiatów użytych dzisiaj.

Wziąwszy z rąk kuzynki papier i ołówek, siadłam nieopodal, ale nieposłuszne oczy zamiast spocząć na błyszczącym welinie notesu, biegały ciągle tam, gdzie z za lasu liści migały dwie postacie, których żarty i śmiechy drżały ciągle w powietrzu. Ułożenie regestru porządne, przechodziło w tej chwili moją możność. Palce bezwiednie prawie idąc w ślad za myślami, kreśliły na pierwszej kartce jakieś litery, nie mające żadnego związku z celem wskazanym prez Hortensyę.

Stanęła właśnie z Witalisem przy wysmukłym krzaku chińskiej, żółtej róży.

— Bardzo lubię ten kwiat — rzekł Witalis. — Ciemno żółta barwa...

— Symbol zazdrości — ozwałam się głośno z mego kącika; daremnie jednak, bo nawet nie zwrócono przelotnej uwagi na te słowa.

— Ciemno żółta barwa — kończył on — podoba mi się, jako wyobrażenie gorącego uczucia.

Mówił niby żartobliwie, przecież zdawało się, że w tym żarcie tkwi coś głębszego.

— Uczucia, ale jakiego? — zapytała z zupełną swobodą Hortensya.

— Tajonego w głębi. Wre ono i pali się...

— Panie Witalisie, bądź łaskaw zobaczyć, jak postępuje robota mej kuzynki.

Sam fakt, że Horcia przerwała zdanie, jakie każda inna panna słuchałaby ciekawie, był uderzającym. Może to ja przeszkadzałam ich rozmowie? Dumnie wzniesiona jej głowa, imponująco wyprostowana postawa, nie nadawały się teraz do słuchania tkliwych zwierzeń.

— Panno Anno, co pani powypisywała? Przeróżne figury, pomieszane z dwoma imionami?

— Cóż, cóż? — pytała Hortensya, zbliżając się do mnie i Witalisa.

— Oddaj, pan, oddaj — zawołałam mocno niezadowolona, wyciągając rękę po notes.

— Pozwoli pani przypatrzeć się tym retorycznym ozdobom. Na samym środku kartki dwa niepospolite imiona: Witalis-Hortensya. Otoczone dokoła wcale nawet ładnym wianuszkiem. Czy pani umie rysować?

Skinienie głową stanowiło odpowiedź. Nie wydzierałam już teraz notesu.

— Zobaczę przynajmniej, jakie wrażenie wywrze na nich to połączenie imion.

Zarumienili się oboje, a mnie ukłóło coś w serce, jakby śpilką.

— Ja także uczyłem się rysować. Może przypomnę sobie kiedy przy pani, dobrze? A na zadatek tej przyszłości, dostanę tą kartkę. Schowam sobie na pamiątkę.

Horcia oddaliła się z jednym z lokajów w głąb' salonu.

— Wszakże panu nic nie zależy na takiej pamiątce. Gdyby to może od kogo innego, ale ode mnie...

— Od kogo innego? naprzykład, panno Anno?

— Któż wie — pomyślałam — może on rzeczywiście pragnie tego rysunku dlatego, że wyszedł z pod moich palców? Któż wie?

I nie odpowiadając wprost na zadane mi pytanie, rzekłam:

— Dobrze... weź pan i...

Chciałam domówić — pamiętaj — ale Witalis już był przy Hortensyi, której z tryumfem pokazywał wydartą kartkę.

Moje przelotne mniemanie rozwiało się niby mgła, po za której welonem było mi przez chwilę tak dobrze. On pożądał mego pisma dlatego, że tam było jego imię złączone z drugiem.

Nadeszła właśnie baronowa. Widziałam nieraz, jak ona traktowała Witalisa. Uprzejmość jej dla niego, była tak ściśle konwencyonalną, zimną, mogącą więcej zrazić prawie niż zachęcić. Pozbawiona owych drobnych pozornie, jednak nie całkowicie bez wagi, przywilejów, grzeczność baronowej dla Witalisa, ani jednego ciepłego słowa, ani uśmiechu przyjaźni, okazywanej zazwyczaj ludziom lepiej znajomym i przyjaciołom. Dlaczego mianowicie postępowanie jej było takie a nie inne, wówczas nie wiedziałam jeszcze. I teraz gładkie czoło sfałdowało się nagle. Z widocznem niezadowoleniem patrzyła chwilę na córkę i gościa a potem przystąpiła do mnie.

— Dziwnie mi jakoś wyglądasz, Anusiu.

Delikatne, ładne ręce pogłaskały moje włosy. Ciotka lubiła mnie.

— Masz jakąś niewesołą minę. Spodziewam się przecież, że nie masz czasu tęsknić za Wólką?

— Cioteczko — odparłam, całując białe, chłodne palce — zapominam tu o Wólce, chociaż to taka ładna wioseczka.

— Ładnie tam — zagadnęła żywiej. — Opowiedz mi co o Wólce. Czy bardzo zacienił się szpaler lipowy, wiesz, ten, przez środek ogrodu.

Stanęła mi jasno w pamięci cała historya ciotki Wandy. Niby od niechcenia zapytałam:

— Kiedy też ciocia była w Wólce ostatnim razem? Za moich bowiem czasów ani razu.

Zapanowało milczenie. Ciotka cofała się myślą w przeszłość.

— Byłam tam, moje dziecko, ale to już dawno, bardzo dawno... Wyjechałam ztamtąd będąc jeszcze panną. Wólka, moje rodzinne miejsce... Mów mi o niej. Czy okrężne bywa wesołe, czy dworek nie pochylił się. Nie znasz jeszcze, Anusiu, siły uroku, przywiązanej do miejsc, gdzie się spędziło najjaśniejsze dni młodości. Tam szum drzew jest przyjemniejszy niż gdzieindziej, tam z kąta każdego wieje jakieś błogie ciepło. Co krok to znajduje się ślady minionych chwil szczęścia najpierwszego.

Może mi się zdawało tylko, że palce ciotki trzymane w moich drgnęły lekko.

— Cioteczko! proszę na lato przyjechać do nas. Ślicznie wtenczas. Gdzie spojrzeć, wszystko się zieleni. Tyle bławatków w zbożu, ptastwo świegoce, a kiedy zakwitną w ogrodzie jabłonie, grusze, wiśnie, to tak biało i różowo, taki zapach dokoła, że mimowoli jakoś robi się w duszy wesoło... Wieczorem znów dzwonią na Anioł Pański. Głos daleko płynie z rosą, wiesza się na wierzchołkach drzew i budzi echo, spada na miękkie murawy uperlone rosą.

Mówiłam tak jak czułam. Zdarzają się godziny, kiedy mimowoli trzeba wymawiać słowa, nie marzone nawet poprzednio. Takie godziny zaczynały następować dla mnie. Nie mogłam powstrzymać fali różnorodnych uczuć, zalewającej mi piersi, aby nie wytryskiwała nazewnątrz w jakiejkolwiek formie.

Baronowa z głową pochyloną na piersi, z rękami założonemi na kolanach, słuchała nie przerywając.

— Noce wiosenne — ciągnęłam więc dalej — rozlewają czar nieopisany. Budzą ciche zachwyty.

— Ah! — przerwała ciotka po raz pierwszy — w takich jeszcze dziecięcych duszach, jak twoja, budzi się chęć do marzeń, bije serce za czemś dalekiem, wyśnionem, nieznanem a przeczuwanem... Znam i ja piękne noce. Wenecya cała kąpie się w świetle księżyca, pieśni gondolierów mile słuch pieszczą, łódź kołysze się na srebrzystych nurtach, dokoła cisza... a jednak noce takie zamiast ukojenia, zsyłają z piersi niektórych ludzi tęsknoty, porywy, zakłócające sen. Co do mnie np. bywało, że z pod włoskiego nieba, oczy i serce fruwały pod rodzinną strzechę Wólki. O! jakże ja kocham te moje stare ściany.

Oczy baronowej straciły na chwilę zwykły im, lodowaty połysk. Po tylu latach ta kobieta, rozciągnęła przed sobą pasmo wspomnień i z jakąś tajemną rozkoszą przyglądała się jemu. Pod wpływem czasu zbielały włosy baronowej, spłowiało i pasmo z lat młodzieńczych, a jednak w wyobraźni jej przedstawiało się ono jeszcze barwnie i żywo. Był to niby promień światła, ujęty w szklaną kulę, która chociaż zamglona z wierzchu, wewnątrz tliła się niespożycie.

Hortensya i Witalis zbliżali się w naszą stronę. Ciotka znów przybrała na krótko zrzucony pozór. Była znów panią siebie, pełną wdzięku ale i chłodu.

— A więc, niech pan będzie łaskaw uprzedzić raz jeszcze zamówione na dzisiejszy wieczór powagi muzyczne, o której godzinie poślemy karety.

— Pospieszę natychmiast, panno Hortensyo.

Ukłonem pełnym uszanowania pożegnał baronową, która mu odpowiedziała lekkiem zaledwie skinieniem głowy.

Witalis wyszedł, a ona z niezadowoloną twarzą zaczęła mówić:

— Horciu! ze względu filantropijnego aprobowałam i aprobuję ten koncert, ale na liście inicyatorów, w żaden sposób twoje imię nie może być pomieszczone obok pana Witalisa.

— A to dlaczego, mamo? — zagadnęła córka obojętnie.

— Dlatego, że takie połączenie imion, podałoby ludziom przyczynę do licznych komentarzy.

— Jakich, mamo?

— Może świat okrzyczałby pana Witalisa za coś więcej nad zwykłego znajomego.

Gorący odcień szkarłatu przebiegł po marmurowej twarzy panny.

— A gdyby okrzyczał, mamo, to i cóż?

— Horciu! — zawołała z gniewnem zmarszczeniem brwi. — Nie rozumiem cię od pewnego czasu.

W głębi jednej z zaimprowizowanych cieplarni ukazał się baron. Stanął cichutko nie chcąc przeszkadzać rozmowie żony. Wypadało mi być także dyskretną i oddalić się z miejsca zajmowanego dotąd.

Na palcach więc podeszłam do barona, cofnęliśmy się oboje w gąszcz roślin, ale towarzysz mój

utonął słuchem w przyległym salonie, zkąd dobiegały do nas wyraźne, ostre słowa baronowej.

— Wychowałam cię wzorowo. Strzegłam od wszystkiego, coby mogło upoić sentymentalizmem, rozbujać niepotrzebnie fantazyę, uczynić miękką, łatwą do przejmowania się wrażeniami, co niekiedy może dolę kobiety zwichnąć zupełnie lub przynajmniej wytworzyć jakąś łzawą niezadowoloną z siebie i drugich egzystencyą. Chciałam mieć z ciebie kobietę doskonale światową, t. j. umiejącą iść zawsze torem nieposzlakowanym przez żadną skazę. I zdawało mi się, że już jesteś taką. Zdawało mi się, że zawsze będziesz umiała panować nad sobą, nie zdradzisz się z niczem cokolwiek mogłoby uderzyć, zadziwić niepochlebnie oczy twego otoczenia. Starałam się wszczepić w ciebie pojęcie, że prawdziwego stanu serca i duszy nie należy okazywać ludziom, gdyż oni wymagają tyle tylko uczuć, ile niezbędnie jest potrzeba do wspólnego pożycia z nimi.

— Więc to, mamo, ma być niewiele? Nosić ciągle maskę na twarzy, przyciskać pierś, aby nie wybuchła wtenczas właśnie, kiedy uczucia w niej wzbiorą. O! taka bezustanna walka męczy śmiertelnie.

— Od pewnego właśnie czasu, spostrzegłam w tobie jakieś szamotanie. Ty, Horciu, przebywająca zawsze w najlepszem towarzystwie, zaczynasz lekceważyć jego konwenanse. Te ustawiczne krzątanie się z panem Witalisem po całym domu, nasunie bezwątpienia liczne epizody do pogadanek służby. Jest coś w rozmowach, w zachowaniu się twojem i jego, co zwraca ogólną uwagę. Powiedz Horciu, co cię czyni obojętną na głos opinii, znaczącej dla każdej kobiety, zostającej w granicach ściśle określonego sposobu życia, nieskończenie wiele?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

Z pomiędzy licznych wystaw tegorocznych, zajęła nas w szczególny sposób wystawa kwiatowa na polach Elizejskich. W urządzeniu jej wziął czynny udział pan Jan Dybowski, profesor ogrodnictwa w szkole rolniczej w Grignon. W ciągu tej całotygodniowej wystawy odbywały się co rano konferencye; szereg ich rozpoczął pan Dybowski. Mówił głównie o hodowaniu roślin pokojowych. Powtórzymy tu parę jego uwag, które mogą być pożyteczne przy dzisiejszem zamiłowaniu do kwiatów. Młody profesor uważa, iż zbyteczna gorliwość wielką sprawia szkodę roślinom; radzi polewać je bardzo silnie, tak aby woda przeniknęła korzeń do gruntu, lecz należy podsycać je wodą, wówczas tylko, gdy roślina opuszczeniem liści, okaże wyraźną tego potrzebę. Podczas zimy zwłaszcza, kiedy życie organiczne zataja się chwilowo, nadmiar wilgoci bardzo bywa szkodliwym. Zaleca przytem profesor, aby roślin wyhodowanych w pokoju, nie wynosić nigdy na deszcz ani na otwarte powietrze i nie zmieniać warunków do jakich przywykły. Otwieranie okna zupełnie im wystarcza.

Co do bukietów moda przyjęta dziś, wymaga aby się składały z długo uciętych gałązek, osobno kładzionych do wazonu i niezwiązanych razem, tym sposobem zachowują świeżość i życie. Piękność bukietu zależy też na harmonijnym doborze kolorów. Nigdy dwa kolory jaskrawo odbijające od siebie, nie powinny mieścić się razem, ale wypada przeplatać je pośredniemi, mniej wydatnemi barwami.

Prelegent podczas konferencyi, oprowadzał słuchaczów po ogromnej sali, oszklonej górą; napełnionej kląbami kwiatów i roślin liściastych. Ściany dokoła przysłonięte grzędą z wielkich palm i wysokich paproci, przedstawiały jakiś las egzotyczny. Wśród kwiatów, przedmiotem szczególnego podziwu były orchideje, doprowadzone sztuką ogrodniczą do nadzwyczajnej piękności. Pyszna ta roślina nie potrzebuje wcale ziemi, garstka wilgotnego mchu wystarcza do jej wyżywienia. Widzieliśmy na wystawie przybrane orchideami żardinierki, w kształcie ekranu złożonego z pręcików górą zaokrąglonych. Do tych przytwierdzone były rośliny obwiązane mchem u korzenia. Śliczna ta ozdoba salonu, przyjęta szczególniej w Angli, ale potrzeba majoratu lordów angielskich, aby jej sobie pozwolić. Najpiękniejszy okaz na wystawie oceniony był na 10,000 franków i znalazł amatora.

Orchidea umiejętnie hodowana, kwitnie przez kilka miesięcy, kwiat nawet zerwany trwa bardzo długo, ztąd wielkie panie zdobią nim głowy na bal; nie więdnieje pomimo gazu i gorąca, zachowany w mchu wilgotnym może służyć do ubrania po raz drugi i trzeci.

Jeden z ogrodników paryzkich, po długich usiłowaniach znalazł sposób zamienienia blado różowego koloru orchidei na kolor błękitny. Uradowany z wynalazku, zamierzył dać poznać ten jedyny w swoim rodzaju okaz, na wystawie paryzkiej, a potem wywieść go do Londynu, gdzie położona na nim cena 25,000 franków, mogła nie odstręczyć chyba milionerów angielskich. Przez cały dzień, kwiat cieszył oczy właściciela przepyszną barwą lazurową, jasną jak południowe niebo, ale nazajutrz jakże przykry spotkał go zawód, kiedy błękit zmienił się w barwę lilla, na trzeci dzień powrócił do różowej.

Z pomiędzy osobliwości, poznaliśmy na wystawie rośliny mięsożerne, w rozmaitych odmianach. Są to krzewy z wielkimi, ostro zakończonymi liśćmi, podobne nieco do fikusów.

Od końca liścia spada rurkowata łodyga, a od niej spuszcza się kształtny dzbanuszek na kilka cali wysoki z podniesioną pokrywką. Ilekroć muszka lub drobny owad, zabłąka się w głąb' dzbanuszka, pokrywka spada nagle, a żyjątko idzie na pastwę żarłocznej rośliny.

Okazy te przywiezione zostały z Anglii na wystawę, paryzcy ogrodnicy dotąd jej nie zaaklimatyzowali, a przynajmniej nie mają w cieplarniach swoich okazów godnych wystawienia.

Gdyby ta roślina dała się z czasem rozpowszechnić i gdyby muchy stanowiły właściwy dla niej pokarm, byłaby wielkiem dobrodziejstwem, dla wiejskich dworów naszych, gdzieby korzystnie zastąpiła muchomory i inne niebezpieczne trucizny.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Widzisz kochanko — mówiła pani Hérault do Heleny—tu Ludwik przykładnie wiedzie życie, lecz gdybyśmy powrócili do Paryża, zdarzyłaby się zaraz okazya do popełnienia jakiej niedorzeczności. Przyjechawszy do stolicy poszedłby zaraz do klubu i przegrałby z przyjaciółmi znaczną sumę pieniędzy a może jeszcze dostałby się w jakie złe towarzystwo... Niech on lepiej siedzi z nami na wsi, pobyt tu, to zbawienie dla niego, dopóki jest z nami nie dosięgnie go żadne niebezpieczeństwo.

Kończąc swoją przemowę, pani Hérault wzdychała i spoglądała wymownie na młodą dziewczynę nie mając odwagi całkowicie wyrazić swej myśli; w głębi duszy tylko prosiła Boga, aby Ludwik pojął Helenę za żonę. Nic martwiło ją to bynajmniej, że Helena nie miała majątku, jej rozsądek i korzystny wpływ jaki wywierała na Ludwika, znaczyły więcej niż posag. Usposobienie młodej dziewczyny zdawało się zapewniać szczęście i spokój Ludwikowi. A zresztą poczciwa staruszka niczego więcej nie pragnęła, jak tego, aby panna de Graville odziedziczyła choć część ich majątku i tym sposobem została wynagrodzoną za dobrodziejstwo wyświadczone przez jej babkę sędziwej pani Hérault. Myśl ta nie opuszczała staruszki ani na chwilę, lecz nie zwierzała się z nią nikomu, ani wnukowi z obawy, aby przedwczesna zachęta nie zmroziła w zawiązku jego uczuć, ani Helenie w której lękała się obudzić jakie skrupuły. Miała nadzieję, że swoboda wiejska, pobyt pod jednym dachem, wycieczki do lasu pod opieką Emilii i wspólne zajęcie pięknością przyrody, lepiej zbliży ich ku sobie, niż najbardziej umiejętne przedstawienie babki. I w istocie powiew wietrzyka, promień słońca lub czarowna woń kwiatka, służy nieraz do porozumienia się dwojga serc kochających.

Pani Hérault była jednakże zdania, że nie należy żyć w zupełnem od ludzi odosobnieniu i w Boissise rojno nieraz było i gwarno od tłumu zaproszonych gości. Lereboulley przyczyniał się także do rozweselania mieszkańców Boissise i z jego pomocą pani Hérault poznajomiła się z sąsiadami, którzy odwiedzali ją chętnie, jak również oficerowie pułku stojącego w Évreux. Co tydzień przyjmowano w Boissise gości, którzy zabawiali się pływaniem łódkami po jeziorze, rybołóstwem, strzelaniem do gołębi, grą w lawn-tennis lub tańcem.

Nadszedł Sierpień a z nim zbliżała się rocznica urodzin pani Hérault, przypadająca dziesiątego Sierpnia. Z powodu tej uroczystości Ludwik postanowił wyprawić bal. Zaproszono gości nietylko z okolicy ale i z Paryża i pałac napełnił się wrzawą jak za świetnych czasów Piotra Hérault,

gdy w Boissise co tydzień nowi przebywali goście, zmieniając się ciągle jak na królewskim dworze.

Ludwik z pomocą Emilii ułożył program całodziennej zabawy; wieczorem miały być w parku ognie bengalskie i fajerwerki do których słupy stawiano już od wczoraj, potem miał się odbyć bal sielski pod namiotem umyślnie na ten cel wystawionym w parku. Orkiestra miała się mieścić na łodziach pływających po jeziorze i oświetlonych różnokolorowemi weneckiemi lampami. Fale muzyki unosząc się po nad wodą, nader mile pieścić będą uszy słuchaczy. W zamku przygotowywano obiad na czterdzieści osób.

W sam dzień uroczystości o godzinie piątej po południu, gdy zaproszeni goście zaczęli się już zjeżdżać, zjawił się Lereboulley nie zaniedbujący nigdy sposobności pozyskania przychylności mężów przez uprzedzającą grzeczność względem żon. Ubrany był podług najświeższej mody, w szare spodnie, białą kamizelkę i granatowy tużurek, a ubiór ten, jak twierdziła Emilia był zarazem eleganckim i odpowiednim dla niego, różniąc się od czerwonych fraków młodzieży. Przywitawszy się ze wszystkiemi, Lereboulley wzrokiem szukał gospodyni domu, a spostrzegłszy ją i Helenę na trawniku, gdzie kilku amatorów grało w piłkę, zbliżył się z powitaniem.

— Może zganisz mnie pani i nazwiesz niedelikatnym — rzekł do pani Hérault — gdyż samowolnie zaprosiłem pani gościa na którego nie rachowaliście wcale... Jeżeli nie będzie dla niego miejsca przy stole, to on sobie usiądzie gdzie na boku, razem z Emilią...

— Któż to taki? — spytała babcia nieco zdziwiona słowami Lereboulleya, który w tak poufały sposób odzywał się o zaproszonym gościu.

— Klemens Thauziat — odpowiedział senator.

Przez chwilę przykre zapanowało milczenie. Kilka osób stanowiących tę małą gromadkę spojrzało po sobie, wzrokiem wyrażając to czego słowami nie śmieli wypowiedzieć. Ludwik, Emilia i Helena w oka mgnieniu porozumieli się tak wybornie, jakby wiele razy mówili już o tem co od dwóch miesięcy działo się w ich sercach. Niespodziewany powrót Klemensa trwożne wywołał w nich uczucie. Ludwik zadrżał na myśl, że jego przyjaciel powraca jedynie dlatego, aby zobaczyć Helenę i Emilia powiedziała sobie z goryczą, że Thauziat użyje teraz wszystkich sił, aby pozyskać serce panny de Graville; Helena zaś w energicznej twarzy Klemensa czytała zawsze jakąś niemą groźbę, będącą zapowiedzią utraty spokoju Ludwika a może nawet jej własnego szczęścia. Tymczasem Lereboulley tak dalej ciągnął swoje opowiadanie:

— Thauziat przyjechał kuryerskim pociągiem, wynajął jakąś szkapę w Évreux i wpadł do mojego gabinetu właśnie w chwili, gdy miałem tu już jechać. Chciałem go odrazu zabrać ze sobą ale Klemens nie chciał się na to zgodzić, mówiąc, że byłoby to niedelikatnie z jego strony. Tak jakby nie był tu uważany za domownika również jak u mnie... Po długiej sprzeczce stanęło na tem, że jeśli państwo chcecie go mieć na obiedzie, ja poślę po niego mój powóz, w przeciwnym zaś razie zje obiad sam i dopiero przyjedzie tu późnym wieczorem.

— Posyłaj pan prędko po niego powóz — rzekła pani Hérault. — Może będzie przy stole trochę ciaśniej, ale dla Klemensa zawsze musi się znaleźć miejsce.

Ludwik pobladł i błagające oczy zwrócił na Helenę a wzrok jego wyrażał tak jasno miotające nim wzruszenie, że Helena nie mogła wątpić, iż ją kocha. Serce dziewczęcia napełniło się głęboką radością, spojrzała mu śmiało w oczy i uśmiechnęła się zlekka.

— Nie lękaj się — mówiła mu wzrokiem — ja tylko do ciebie jednego pragnę należyć i wszyscy w świecie don Juani nie potrafią odebrać ci twej własności.

Pomimo tego zapewnienia Ludwik smutnie pochylił czoło, znał Klemensa i lękał się jego współzawodnictwa. Helena ulitowała się nad nim i rzekła zwracając się do Emilii:

— Może pójdziesz przejść się z nami? Obejrzemy salę tańca i przekonamy się, czy urządzono wszystko tak jak rozkazałaś.

I nie czekając, aby Ludwik ofiarował jej ramię wsparła się sama na jego ręku i wszyscy troje zapuścili się w ciemne aleje parku, przypominając sobie rozkoszne dni, które pędzili razem a to wspomnienie dodawało im siły do mężnego oporu przeciw zbliżającej się burzy. Z daleka dochodziły ich wesołe głosy bawiących się gości, świeże, wonne powietrze chłodziło rozpalone ich czoła i koiło wzburzone nerwy. Nie doszli nawet do sali balowej, wybierając właśnie najmniej uczęszczane ścieżki, gdyż Emilia zrozumiała doskonale, że słowa Heleny służyły tylko za pozór oddalenia się na chwilę od towarzystwa. Pochodziwszy trochę, zwolna wracali ku pałacowi.

Zmrok już zapadał i salony oświetlono rzęsiście, Helena z Emilią i Ludwikiem weszła do salonu i pierwszą osobą jaką spostrzegła rozmawiającą z panią Hérault był ten kogo się najbardziej obawiała. Thauziat zeszczuplał trochę i przez to wydawał się jeszcze wyższym. Rysy twarzy wyciągnęły się nieco a na skroniach wśród czarnych włosów przeświecało kilka srebrzystych nitek.

Spostrzegłszy swego przyjaciela i dwie młode dziewczyny uśmiechnął się a oczy jego wewnętrznym zajaśniały blaskiem. Postąpił do Ludwika z wyciągniętą dłonią a serdeczny jego uścisk dowiódł, że jest szlachetnym i prawym człowiekiem.

Może być, że wracał z zamiarem zdobycia serca Heleny, lecz można było być pewnym, że postąpi otwarcie nie uciekając się do żadnego podstępu. Nadzieja ożywiała go widać, gdyż był rozpromieniony i spokojny zarazem. Helena nigdy go takim nie widziała, zazwyczaj bywał niespokojnym i roztargnionym. Dziś dopiero przedstawił jej się w najkorzystniejszem świetle, nigdy obejście jego nie było wytworniejsze a umysł więcej błyskotliwym, jak tego pamiętnego dla wszystkich wieczoru. Cała jego postać tchnęła jakimś nieprzepartym urokiem, którego pieszczotliwej potędze prawie niepodobna było się opierać. Siwizna, która przyprószyła trochę jego krucze włosy na skroniach, nadawała rysom twarzy jakiś łagodniejszy wyraz i szatański powab oblicza, zmieniała na prawdziwie szlachetną piękność.

— Zmieniłeś się pan trochę — rzekła Emilia spoglądając nań ze smutkiem — czy nie chorowałeś przypadkiem?

— Nie, lecz miałem wiele trosk i prawdziwych kłopotów — odparł — ale to już przeszło... Teraz już niezmienne powziąłem postanowienie.

Emilia badawczo spojrzała mu w oczy jakby wyczytać z nich chciała myśl niedokończoną. Czyżby Klemens chciał dać jej do zrozumienia, że pomimo, iż kochał Helenę, wyrzekł się zamiaru starania się o jej rękę? Lub też ze zwykłą sobie dumną szczerością, rzucał całemu światu rękawicę oznajmiając, że gotuje się do walki?

Klemens rozmawiając nie zwracał się wyłącznie do Heleny, nie wymówił ani jednego słowa, któreby mogło wyjaśnić położenie rzeczy, opowiadał tylko o polowaniu w Karyntyi, które bardzo miłe pozostawiało mu wspomnienia.

Z zapałem opisywał olbrzymie lasy, gdzie stuletnie sosny szepczą tajemniczym szmerem a burzą obalone pnie drzew są nieraz tak ogromne, że trzebaby się na nie wdrapywać po drabinie; poranne wycieczki na wierzchołki gór, gdzie oczekiwał ukazania się jutrzenki, słuchając śpiewu głuszca odzywającego się w zaroślach. Potem mówił o nagich skałach i głębokich urwiskach, ponad któremi ścigał dzikie kozy tak przebiegłe w odgadywaniu grożącego im niebezpieczeństwa i o szalonych skokach zwierzęcia dosięgniętego strzałą.

— Biedna kózka usiłuje zatrzymać się drżącemi nogami nad brzegiem przepaści — mówił Thauziat z zapałem — lecz wkrótce stacza się w wąwóz wydając ostatnie tchnienie u nóg strzelca.

Wreszcie z całą szczerością przyznawał się, że on, któremu nieraz nie dogadzały najwykwintniejsze meble i najbardziej wyborowa kuchnia, spędził przeszło dwa tygodnie na wierzchołku góry Arlberg, w chacie osłoniętej tylko gałęziami. Łożem jego było posłanie z zeschłych liści a jedynem towarzystwem nieokrzesani wieśniacy, dopomagający mu w polowaniu. Cały ten czas żywił się upolowaną przez siebie zwierzyną.

— Spoglądając ciągle na te olbrzymie lasy i niedostępne urwiska skał — mówił Thauziat — zapominałem o sobie i o dręczących mnie cierpieniach. Wspaniałe widoki natury koiły wzburzony umysł i rozstrojone moje nerwy.

Wrażenia swoje Thauziat opisywał z prawdziwie poetyckim zapałem i porywał wszystkich słuchaczy powabem swej wymowy. Wszystko znikło naokoło niego, on tylko jeden pozostał na widowni. Przykuł do siebie uwagę obecnych i zaćmił wszystkich jak słońce, gdy zwycięzko rozpraszając chmury, rozsiewa wspaniałe blaski na pogodnem niebie.

Nie upłynęła nawet godzina a Thauziat zjednał sobie przychylność wszystkich osób, zebranych w salonie pani Hérault; mężczyzni zazdrościli mu jego potęgi a kobiety unosiły się w duchu nad jego pięknością, rozumem i wdziękiem. Tak więc Klemens dopiął zamierzonego celu, przedstawiając się jako zwycięzca i władca.

Naturalnie, że wszystkie usiłowania jego skierowane były ku oczarowaniu Heleny, która w tej chwili miała najlepszy dowód, jaki urok potrafił Klemens wywierać na ludzi. Pragnąc miłości chciał pokazać, że jest godnym, aby go kochano. Ale czy trudy jego odniosły pożądany skutek? Nieraz bowiem kobieta znajduje we własnem sercu argumenta, obalające najsilniejsze dowodzenia rozumu.

— Jesteś nieporównanym, mój drogi Klemensie — rzekła pani Hérault z zachwytem, nie domyślając się, że tą pochwałą szkodzi swoim najdroższym zamysłom.

Poczciwa staruszka do samego obiadu nie przestała go chwalić i starała się być jak najuprzejmiejszą dla niego.

Obiad był długi i nudny, zbyt wielki stół utrudniał zawiązanie ogólnej rozmowy; Ludwik siedział między żoną prefekta z jednej, a jakąś sędziwą panią z sąsiedztwa z drugiej strony, o ile mógł starał się je zabawiać, ale mu się to nie bardzo udawało. Uwagę jego pochłaniała Helena, sie-

dząca obok pana Lereboulley i Klemens mający za towarzyszkę Emilię. Tak rozdzieleni nie mogli rozpocząć żadnej walki.

Nareszcie wstano od stołu i salony opróżniły się w kilka minut, gdyż wieczór był ciepły i pogodny a w pokojach nieznośne zapanowało gorąco. Tymczasem goście zaproszeni na wieczór zaczęli się zjeżdżać i Ludwik musiał zostać z babką w salonie, aby witać przybywających. Co przecierpiał przez tę godzinę, żadne pióro nie zdoła tego określić.

Czuł, że wśród zmroku ogarniającego coraz bardziej taras i park, Thauziat mógł działać zupełnie swobodnie; tam nikt mu nie przeszkodzi w rozmowie i zbliżeniu się do Heleny, nawet obecność Emilii z pewnością nie będzie go krępować. Ludwik wiedział doskonale, że urokowi Klemensa żadna z kobiet oprzéć się nie zdoła, że nieraz w przeciągu godziny najuczciwsza kobieta odurzona jego czarującemi słówkami, sama nie wiedząc jak się to stało, znajdowała się w jego objęciu.

Bladł więc z niecierpliwości i wzrokiem usiłował przebić ciemność, nadsłuchując pilnie każdego szmeru dolatującego tu ze dworu. Nic jednak nie mógł dojrzéć prócz nieba, płonącego odblaskiem lamp i bengalskich ogni, nic nie słyszał prócz dźwięków muzyki i wesołych śmiechów licznego zgromadzenia gości. Gdzie był Klemens z Heleną? Czy bawili się wraz z innemi lub też rozmawiali na uboczu? Lecz o czem mówić mogli? Pytania te tłumnie cisnęły mu się do myśli, szarpiąc serce trwogą i niepokojem. Nareszcie nie mogąc już dłużej usiedziéć na miejscu, namówił panią Hérault, aby z nim razem zeszła do ogrodu.

W tej chwili wspaniały fajerwerk rozsypał się w miliony iskier po niebie a przy migotliwem jego świetle Ludwik usiłował odszukać wzrokiem Heleny. Lecz nie dojrzał na tarasie ani jej, ani Emilii lub Klemensa, tymczasem ciemność zaległa taras a po chwili znów czerwonawe oblało go światło. Ludwik stał ze ściśniętem sercem, nie mając odwagi iść ich szukać, przeczuwał jednak, że teraz los jego rozstrzyga się może. Pogrążony w bolesnej zadumie ocknął się dopiero, gdy czyjaś dłoń wsparła się na jego ramieniu. Obrócił się, obok niego stała Emilia z poważnym wyrazem na bladem licu. Już otwierał usta, aby zawołać:

— Gdzie oni są, Emilio?

Lecz Emilia odgadła widać jego niepokój, gdyż wyciągając rękę w stronę jeziora, rzekła:

— Oni są tam.

Ludwik zwrócił wzrok we wskazanym kierunku i przy blasku bengalskich ogni, dostrzegł wpośród mnóstwa osób, wyniosłą postać Klemensa a obok niego białą suknię Heleny. Oboje wspierali się o kamienną balustradę.

— Dlaczego nie zostałaś z nimi? — spytał Ludwik.

Emilia uśmiechnęła się smutnie.

— Bo przeszkadzałabym im — odparła — i ty zawadzałbyś im również. Rozmawiają, zostawmy ich w spokoju.

Serce Ludwika niewymownym ścisnęło się bólem, w oczach jego zamigotały łzy i upadł bezsilny na marmurową ławkę.

— Mam więc wyrzec się nadziei posiadania jej? — szepnął. — Utracić ją, byłoby nad moje siły!

— Kto zrozumie serce kobiety? — rzekła Emilia, siadając obok niego. — Helena jest tego rodzaju istotą, że wtedy dopiero wypowiada swoją myśl, skoro postanowiła ją wygłosić, a robi tylko to co chce. Przeznaczenie zrządziło, że Thauziat ją pokochał i nic dziwnego, usposobienia ich są bardzo do siebie podobne. Jeżeli kiedykolwiek Klemens ożeni się z Heleną, można będzie powiedziéć, że nigdy przypadek nie złączył rozumniej dwóch istot stanowiących jedność w tem, co nazywają małżeństwem.

Ludwik zacisnął pięści i gniewnym ruchem podniósł głowę do góry.

— Twoje filozoficzne dowodzenia doprowadzają mnie do rozpaczy! — zawołał. — Mam ochotę znieważyć Klemensa, biegnę już, dłużej niepodobna znieść takich męczarni...

— Jakiem prawem miałbyś go znieważyć? Czy możesz zakazać Helenie, aby go nie kochała?

— Nie, ale mogę spróbować go zabić, jeżeli jego nade mnie przeniosła!...

— Gdyby należało przelewać krew za każdy raz, gdy serce dozna zawodu — odezwała się łagodnie Emilia — ja która jestem zawsze przedmiotem pośmiewiska lub pogardy powinnabym już wytoczyć rzekę krwi...

— A więc cóż mam czynić? — zawołał Ludwik z rozpaczą.

— Nic. Nie jesteś człowiekiem zdolnym walczyć z przeznaczeniem lecz tylko biernie mu się poddawać. Od miesiąca miałeś ze dwadzieścia razy sposobność wypowiedzenia Helenie, że ją kochasz, wolałeś jednak lubować się samem przeświadczeniem o istnieniu w twem sercu miłości i to wystarczało ci zupełnie do szczęścia. Dopiero przybycie rywala nauczyło cię cenić dobro, które możesz utracić w jednej chwili. Nie ceniłeś swego szczęścia a teraz grozisz i krzyczysz. I dlaczego?... wszak panna de Graville jest wolną i może wybierać podług upodobania. Nie sądzę, abyś był tak szalony i mniemał, że za wyświadczoną jej łaskę powinna stać się waszą niewolnicą. Ona samą swoją obecnością w waszym domu uczyniła większe dla was dobrodziejstwo, niż wy, ocalając ją od biedy... Nie wolno ci stanąć pomiędzy nią a Klemensem; jakiem prawem byś to uczynił? Czy jesteś jej bratem lub narzeczonym?

— Tak ci to łatwo mówić — rzekł Ludwik z gniewem — lecz gdybyś kochała...

— Ja! — zawołała Emilia z błyszczącem spojrzeniem, które olśniło jej przyjaciela. — Ja!

Tu szyderczym wybuchnęła śmiechem ukazując białe, ostre zęby.

— Masz słuszność, ja nie kocham!... Od kolebki skazaną jestem na to, żeby czuć przyjaźń a nie miłość... Ale za to kocham przyjaciół szczerze i rozumnie... I dowodzę tego zatrzymując cię teraz przy sobie... A teraz chcesz abym ci dała dobrą radę? Nie mieszaj się w nic zupełnie, bierność w tym razie może ci wyjść na dobre. Pozwól działać innym a sam pozostań obojętnym... Bywają chwile w życiu człowieka kiedy największego taktu dowiedziemy tem właśnie jeśli zachowujemy się biernie... A zresztą ty masz takie szczęśliwe usposobienie, że jeśli Helena pokocha Klemensa, pocieszysz się prędko po jej stracie.

— Nigdy!

— Znam ja te twoje *nigdy* i te twoje *zawsze*, przysięgi twoje nie trwają dłużej nad tydzień. Nie zaprzeczaj mi, szczęśliwi zapominają szybko. A jednak ja nie żałuję tych co pamiętają!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Korespondencya z Włocławka.

Lato nie spełnia nam dotąd obietnic swoich. Ztąd wśród bujnych łanów kujawskiej gleby zawisła groźba, trwogą przejmując rolników. Gdy zboże porośnie z wilgoci, a ziemniaki zgniją, wówczas, jak mówi pisarka-realistka, kamienie chyba będą nam chlebem na ojczystej ziemi!

W mieście nie wesoło; plutokracya pławi się w wodach zagranicznych, a pozostali dokładają cegłę do cegły, by lepiej było na świecie, raźniej a jaśniej.

W teatrzyku, kapłani sztuki grają komedye, w bławatniach i magazynach stękają na ogórkowe czasy, a ci, którym los łaskawca dał ferye, kąpią się w promieniach dwumiesięcznej swobody.

Wkrótce już w szkołach i pensyonatach rozpoczną się wpisy. Na szczęście mylną się okazała pogłoska, że pani Aleksandra z Heckerów Aspis, zwija swą sześcioklasową pensyę. Wyższy ten zakład naukowy, egzystujący tu lat jedenaście, cieszy się po dziś dzień chlubną renomą. Przełożona znaną jest zaszczytnie z cnót, które są berłem kobiety. Niejednokrotnie szpalty pism krajowych, wygłaszały podziękę sierot, przygarniętych do ogniska wiedzy i ogrzanych ciepłem macierzyńskiej opieki pani Aspis.

Na pociechę więc miasta i okolicy, zapewniam, że zakład ten nie został oddany winne ręce, a kurs nauk rozpocznie się z dniem 25 Sierpnia.

Nie możemy pominąć faktu, który z chlubą zaznaczamy, składając uznanie przynależne stowarzyszeniu śpiewaków. Liczba ich dotąd dochodzi do czterdziestu. Są to ludzie młodzi, którzy zbierając się pod kierunkiem księdza Moczyńskiego, kapelana ks. biskupa Bereśniewicza oraz profesora śpiewów w alumnii duchownej, a także pod dyrekcyą pana Durkowskiego, organisty katedralnego, uczą się śpiewać ku chwale Bożej i pożytkowi bliźniemu. Dowiadujemy się o postępach olbrzymich, dowodem których będą msze odśpiewywane w katedrze i koncerta na szpital, stypendya i tym podobne wzniosłe cele. Ma przyjąć w nich udział znakomity deklamator pan Rz., który nie skąpi swych talentów, gdy idzie o dobro publiczne. Cześć wam i słowo serdecznego uznania, zacna młodzieży, co wstęp do życia tak chlubnemi zaznaczasz czynami i na ołtarz miłosierdzia składasz w ofierze pieśń swą dla cierpiącej ludzkości! Idźcie z tą pieśnią przez życie wytrwale a mężnie, aby zawieje i huragany nigdy nie zagłuszały drgnień jej serdecznych.

Niedawno otworzony zakład fotograficzny, pana Wacława Jankowskiego, w alei prowadzącej na dworzec kolejny, ma nas wkrótce obdarzyć widokami zdejmowanemi z Włocławka i Kujaw, o co usilnie jest proszony, oraz reprodukcyami z obrazów znakomitych pendzli. Fotografie w tymże zakładzie wykonywane z artyzmem, a ceny zastosowane do dzisiejszych ciężkich czasów. Czuję się tu w obowiązku dodać jeszcze, że wytworna grzeczność dla interesantów, zjednywa młodemu pracownikowi sympatyę ogółu.

Paulina Biernacka.

WIADOMOŚCI

Z RÓŻNYCH STRON.

Fabryka wyrobów owocowych. Pierwsza fabryka przetworów owocowych pod kierunkiem wykształconego człowieka, jak donosi „Ogrodnik Polski”, będzie otwarta za kilka tygodni w Radomiu. Założył ją wychowaniec b. Szkoły Ogrodniczej Warszawskiej, p. Stanisław Perkowski. Jakie przetwory p. Perkowski będzie produkował, jeszcze w tej chwili nie wie; zapewne będzie to głównie susz, marmelada i galareta, a może i soki owocowe. Technik, o którym mowa, długo się wahał w wyborze miejsca, w którem miał osiąść; ostatecznie wybrał Radom, jako miasto położone w okolicy w owoce i to dobre, obfitującej. Zrozumiałą też jest rzeczą, że fabryka podobna istnieć może tylko przy nizkich cenach na owoc surowy, to jest takich, jakie się dotąd w Radomiu i okolicy praktykowały. Tymczasem, skoro tylko rozeszła się wieść o powstaniu nowego przedsiębierstwa, właściciele sadów raptownie ceny podnoszą, czem zapewne spowodują, że p. Perkowski zwróci się tam z zakupami, gdzie będzie mógł taniej dostać. W roku średnio choćby urodzajnym, jak bieżący, dowóz owocu na rynek warszawski tak jest kolosalny, że czereśnie spadły do 3 a nawet 2 rubli za pud, to jest do ceny dotąd niepraktykowanej. W tych warunkach opłaciłoby się chyba założyć znaczną fabrykę i w samej Warszawie.

W tych dniach na jednej z sal tańca przy ulicy Muranowskiej, odbywało się wesele Fajgi Cw., córki... nosiwody.

Ojciec jej stary Aron, zajmujący się tym procederem od lat 42, zdołał w przeciągu tego czasu zaoszczędzić sobie kapitalik, wynoszący 6,400 rubli.

Pierwsza córka jego Rojza, wychodząc zamąż dwa lata temu, otrzymała w posagu gotówką 3 tysiące rubli, nie licząc kosztów weselnych.

Młodsza Fajga otrzymawszy w wianie takąż samą sumę, wyszukała sobie męża aż w... Ciechocinku, gdzie miesiąc temu bawiła u ciotki.

W pośród mieszkańców tamtej dzielnicy miasta, fakt powyższy wywołał niemałą sensacyę.

Bukiet do... Algieru.

Właściciel zakładu ogrodniczego, p. ***, w tych dniach otrzymał niezwykłe zamówienie.

Oto pani D., przebywająca w Algierze dla poratowania zdrowia, zażądała bukietu z kwiatów polnych.

„Tutejsze kwiaty — pisze pani D. — są wprawdzie wspaniałe, nie przypominają jednak niczem naszych skromnych, a tak wiele mówiących kwiateczków.”

Ogrodnik polecenie wypełnił...

Piękne to a nawet i patryotyczne, ale...

Obywatel tutejszy p. G., nabył w Londynie welocyped sześcioosobowy, spoczywający na czterech kołach.

Przyrząd ten poruszają wszyscy pasażerowie, naciskając nogami deskę, która służy zamiast pedału.

„Omnibus” welocypedowy jest łatwy w użyciu, a kosztuje... tylko 500 rs.

W okolicy Kielc założono fabrykę bryndzy krajowej, wyrabianej na sposób węgierski.

Nowy zakład, urządzony na większą skalę, wysyła swoje wyroby do Warszawy i Cesarstwa.

Fabryka koronek. Bardzo ważną sprawę porusza jedno z pism, uwydatnienia się u nas ruchu w kierunku przemysłu tiulowo-koronkarskiego, którego głównem siedliskiem zagranicą jest miasto Calais z przedmieściem St. Pierre-les Calais.

Skutkiem przesilenia w tej miejscowości nadmiarem wytwórczości wywołanego, producenci tamtejsi, których liczba dochodzi do 500, zmuszeni są szukać nowych dróg zbytu.

Z powodu, iż Cesarstwo i Królestwo ze względu na wysokie cła protekcyjne, zakupy swoje ograniczyć musiały, fabrykanci z Calais zaczynają do nas przenosić swoje warsztaty.

Pochodzący z Calais mechanik p. Messagé założył już tutaj fabrykę koronek o jednym warsztacie.

W podobnym celu przybył też do Warszawy drugi fabrykant p. Cinquin.

Niewątpliwie pp. cudzoziemcy uciekną się o pomoc do rąk wyłącznie krajowych.

Biblioteka międzynarodowa dzieł kobiecych, wkrótce ma powstać w Paryżu z inicyatywy naszej rodaczki p. Anny Wolskiej, córki ś. p. Kaliksta Wolskiego, autora podróży po Ameryce, na zasadzie stowarzyszenia. Inicyatorka w odezwie swej wskazuje warunki tego stowarzyszenia i odwołuje się do autorek o nadsyłanie prac swoich dla zgromadzenia możliwie kompletnego zbioru płodów kobiecego umysłu. Na liście współzałożycielek biblioteki spotykamy np. imiona królowej rumuńskiej, marszałkowej Canrobert, wice hrabiny Tanaka, żony ambasadora japońskiego w Paryżu i t. p. Adres zawiązującego się stowarzyszenia jest w mieszkaniu p. Steiner-Dollfusa, który się podjął obowiązków skarbnika w Paryżu, ulica des Jeuneurs numer 26.

Fabrykacya butelek papierowych coraz większe przybiera rozmiary. W Anglii utworzyło się w ostatnim czasie Towarzystwo akcyjne z kapitałem zakładowym 120,000 funtów sterlingów, w celu zakładania fabryk butelek papierowych. Zwłaszcza przy dalekich transportach, butelki papierowe zajmą niebawem miejsce dotychczas używanych butelek szklanych, są bowiem o wiele lżejsze i nie podlegają stłuczeniu. Butelki papierowe, rozpowszechnione mianowicie w Ameryce, nie cierpią nic od znajdującego się w nich płynu, wina, spirytusu i innych, papier bowiem w ten sposób jest przygotowany, iż wilgoć żadnego nie wywiera na niego wpływu.

Poruszana niejednokrotnie przez różne gruppy rolników myśl obłożenia cłem nasienia buraków cukrowych, jak wiadomo stała się ciałem i projektowane cło obowiązuje już od początku roku bieżącego. Zabezpieczywszy się w ten sposób od wywozu, rolnicy tutejsi zapomnieli o przedsiębierczości plantatorów niemieckich i nie przewidzieli konkurencyi wewnętrznej. Plantatorowie niemieccy pojmując niedogodności przywozu z za granicy w skutek nowego ograniczenia celnego, wpadli na myśl urządzenia własnych plantacyi w obrębie Królestwa Polskiego. Jako przyszły terren uprawy nasion buraczanych obrano dobra v. Treskowów w Kutnowskiem. Umowa pomiędzy właścicielami a dzierżawcą została już zawartą i roboty przygotowawcze są niemal na ukończeniu. Plantacye zajmą znaczny obszar ziemi, za który tenuta dzierżawna została już z góry wyliczoną za lat pięć w ilości 10,000 marek. Nowy to przyczynek do charakterystyki naszych stosunków ekonomicznych. Dodać należy, że na kierowników plantacyi sprowadzono dwóch specyalistów z zagranicy.

Edison wpadł na oryginalny pomysł zastosowania fonografu. Słynnemu wynalazcy urodziła się niedawno temu córka, której krzyki, płacze, jako też pierwsze próby mowy przekazane mają być potomności. Odtworzy je kiedyś fonograf, umieszczony w pokoju dziecka, jak odtworzy również zachowanie się z niem mamki, niańki, matki i t. d. W przyszłości, gdy dziecko dorośnie, fonograf ze szczegółami powtórzy pannie Edison najdrobniejsze wypadeczki z jej życia, od pieluszki zacząwszy.

Prawo wyrabiania ulepszonego tego fonografu sprzedał Edison pewnej firmie amerykańskiej za drobną sumkę miljona dolarów i to tylko na Amerykę. Europę zachował sobie Edison na potem. Obecnie zaś między Paryżem a Bruksellą toczą się układy o urządzenie przedstawień operowych przez telefon. Akademia nauk w Brukselli zamierza w tym celu wznieść osobny pawilon telefoniczny na wystawie. Podczas paryzkiej wystawy elektrycznej, swego czasu, miały miejsce bardzo często takie przedstawienia operowe przez telefon, który łączył pałac Przemysłu z gmachem Wielkiej Opery.

Pod Palo, we Włoszech ks. Władysław Odescalchi założył miejscowość leczniczą p. n. Ladispoli. Na miejscu otwarto restauracyę polską i mleczarnię z kwaśnem mlekiem. Od warszawianina, który tam chwilowo zamieszkał, otrzymujemy pochlebną wzmiankę o pomienionej miejscowości.

W Buffalo zmarł ks. Józef Ciszek, proboszcz miejscowy, rodem z Buska. Cały majątek zapisał na cele dobroczynne. Grzebał go biskup Rjan.

Gwiżdżąca prymadonna. Wybór towarzystwa londyńskiego pełen jest uniesień dla pewnej amerykanki, pani Shaw, która od kilku tygodni w Londynie bawi i... gwiżdże. Pani Shaw jest wysoką brunetką o pełnych wyrazu rysach twarzy i ciemnych oczach. Matką jest czworga dzieci i dla zapewnienia im bytu gwizdanie obrała sobie, jako fach. Długi czas pobierała lekcye od pewnego nauczyciela śpiewu, a od roku występuje publicznie. Na koncertach towarzyszy jej na fortepianie przyjaciółka jej, pani Campbell. Co dnia pani Shaw w gwizdaniu dwugodzinne odbywa ćwiczenia; na wyuczenie się jakiejś nowej sztuki zużywa zawsze około trzech miesięcy czasu. Do Londynu oryginalna prymadonna przybyła za rekomendacyą pani Vanderbilt i zaraz po przybyciu występowała przed ks. Walii. Odtąd cieszy się niezwykłem powodzeniem i spore zarabia pieniądze. Dzieci pani Shaw zdradzają wybitne zdolności do gwizdania. Jest ich czworo, a więc na przyszłość kwartet gotowy.

Legenda o kolczykach. Starożytna legenda wschodnia w następujący sposób wyjaśnia pochodzenie zwyczaju noszenia kolczyków. Sara, żona Abrahama, była bardzo piękną, nie miała jednak potomstwa, wskutek czego zobojętniała dla męża, który też zaczął ją zdradzać ze swoją służącą Agarą. Naturalnie Sara zapałała straszną zazdrością i poprzysięgła zemścić się nad swoją rywalką przez oszpecenie jej urody. Abraham starał się uspokoić żonę i odwieść od powziętego zamiaru, gdy jednak nic nie pomagało a przysięgi złamać nie było można, obmyślił on następujący kompromis: zamiast zeszpecenia twarzy Agary, postanowiono poprzekłówać jej uszy. Spełniono wyrok. Abraham chcąc nagrodzić czemś cierpienia Agary, w prze-

bite uszy powkładał jej złote kółka. I cóż? Sara widząc, jaki to sprawia efekt, zażądała, aby i jej natychmiast poprzekłuwano uszy i powkładano złote kółka. Za przykładem Sary poszły jej służebne i niewolnice i tym sposobem ustalił się zwyczaj noszenia kolczyków, który dotrwał do naszych czasów pielęgnowany przez damy, które widocznie są najstalszemi konserwatystkami.

W szkole podoficerów, nauczyciel wykładający historyą, powiada:

— Wojna trzydziestoletnia, trwała od roku 1618 do... no, powiedz Dalicki...

— Za pozwoleniem — przerywa feldfebel z pewnym rodzajem urazy — proszę nie zapominać, że pan ma tu do czynienia, nie z profesorami uniwersytetu, to pytań tak trudnych nie należy zadawać.

* * *

Wyrzekania na upadek poezyi w dzisiejszych czasach zdają się być pozbawionemi podstawy, gdyż nawet depesze telegraficzne, jeżeli nie na prawdziwym jej rydwanie, to przynajmniej na pegazie wierszoklectwa, długie przebywają przestrzenie.

Oto w połowie zeszłego miesiąca, usposabiającego widocznie do rymów i dobrego humoru, wysłano z jednej ze stacyi telegraficznych dwie wierszowane depesze do solenizantki na dzień 13 Lipca, które tu, ku pocieszeniu strapionych nad upadkiem poezyi, powtarzamy.

Pierwsza brzmiała tak:

„Z serca gorejącego, jak jarząca świeca,
Przyjmij, Madziu, życzenia od twojego Miecia."

Druga zaś od wujaszka:

„Niech telegraf niesie, szybciej niźli ptaszek,
Najszczersze życzenia, które szle wujaszek."

Nie dość jednakże na tem, bo zaraz w parę dni, z tejże samej stacyi, wysłano również do solenizanta następującą depeszę:

„Heniu drogi,
W twoje progi,
Siłą pary,
Druh twój stary
Pędzi, goni!
Z tej więc racyi,
Ty do stacyi
Przyślij koni."

* * *

Ciekawy styl raportowy. W jednej z gmin w powiecie Łódzkim, jak donosi „Dziennik Łódzki", w dniu 23 Czerwca r. b., miało się odbyć zebranie gminne, które wszakże pomimo zgromadzenia się członków gminy, nie doszło do skutku, z powodu słabości wójta. Urząd gminny donosząc o tem władzy powiatowej, pisze w raporcie: „Zebranie gminne, naznaczone na dzień 23 Czerwca r. b., nie mogło się odbyć z tego powodu, że wójt *ma zamiar* wkrótce umrzéć." Jakoż rzeczywiście w kilka dni władza powiatowa otrzymała zawiadomienie, że wójt X. umarł.

* * *

Pobity na głowę. A. — Utrzymuję stanowczo, iż materyalizm tylko ma racyę bytu. Nie wierzę w żadne uczucia i doprawdy nie rozumiem, jak np. można przywiązać się do kogokolwiekbądź.

B. — A no, to w takim razie stoisz niżej od każdego bydlęcia, bo przecie pies, koń i wiele innych stworzeń przywiązują się do człowieka.

RÓŻNE MYŚLI.

Ludzie są jak zwierzęta, wielcy jedzą małych, a mali ich kłują.

Valtaire.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 33 wyszedł z druku i zawiera:

Z dawnych czasów.— Czemu to? (wiersz). — Wspomnienia z podróży Jana Grudziaka po Ameryce (z drzeworytem). — Opowiadania z historyi Rossyi. — Rea Nowo-Hollandzka (z drzeworytem). — Czikosi ze stadem koni (z drzeworyt.). — Myśli.— Dwie siostry. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Wycieczka do Grenlandyi (z drzeworytem). — Motyl i pszczółka (wiersz). — Mały zbytnik.—Samochwały (wiersz). — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 3 Августа 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.